

**K S I Ę G A**  
**AMERYKA ŃSKICH**  
**MĘCZENNIKÓW**

Joyce  
Carol  
Oates

K S I Ę G A

AMERYKAŃSKICH

MĘCZENNIKÓW

PRZEŁOŻYŁA DOBROMIŁA JANKOWSKA

MARGINESY

*A Book of American Martyrs*

COPYRIGHT © 2017 BY The Ontario Review, Inc.

Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Dobromiła Jankowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2023

*Dla Chase'a Twichella i Russella Banksa  
oraz dla Charliego Grossa – mojego męża i pierwszego czytelnika*

Żołnierz Boga –  
Luther Amos Dunphy

2 listopada 1999

## Muskegee Falls, Ohio

*Powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.*

Pan mi rozkazał. W tym wszystkim, co się wydarzyło, to Jego ręka nie zadrżała.

Rozległy się krzyki: „Cofnąć się!”.

Voorhees jako pierwszy znalazł się na muszce. Lekarz aborter ochryplym głosem żądał:

– Cofnij się! Odłóż broń!

I inni krzyczący: „Nie! Nie!”.

Pan poprowadził moje ruchy tak płynnie, że w oczach wroga nie zdążyły się nawet pojawić strach czy zaniepokojenie. Nie było przeżycia, tylko czyste zaskoczenie. Kiedy wszedłem na podjazd w ślad za dodge'em należącym do aborterów, trzymając na ramieniu wycelowaną strzelbę, wielu gapiło się na mnie w zadziwieniu i z podziwem, ponieważ prawo zabraniało protestującym zbierać się tak blisko budynku, a od kilku lat zakazywano nam również zgromadzeń z transparentami czy choćby modlitwy na pozbawionym trawy podwórzu przed Kliniką dla Kobiet Hrabstwa Broome. Jednak znalazł się jeden, jeden z Armii Boga, znany niektórym jako Luther Dunphy, i on sprzeciwił się temu prawu, odważnie przechodząc przez barierę i idąc za minivanem aborterów po podjeździe szybciej, niż można by się spodziewać po człowieku jego postury, i bez wahania.

*Boże, prowadź moją dłoń! Boże, nie pozwól, bym zawiódł.*

Jeden z wrogów, znany jako Augustus Voorhees, właśnie wysiadł z samochodu. Była siódma dwadzieścia sześć. Przychodnię otwierano, by przyjąć klientki (to znaczy ciężarne dziewczyny i kobiety, którym wydawało się, że nie chcą zostać matkami), dopiero o ósmej. Lekarz aborter (niemal dokładnie mojego wzrostu, czyli stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów, i z rozczochranymi siwiejącymi włosami przypo-

minającymi moje) postanowił przyjechać wcześniej, by uniknąć protestujących i wejść do budynku od tyłu, ale w tym jego spryście była głupota, ponieważ policjanci z Muskegee Falls pojawiali się dopiero koło siódmej trzydzieści (a czasami później), a kiedy tamtego ranka wezwano funkcjonariuszy na miejsce, życie już z lekarza wyciekało, jak życie postrzelonej w brzuch świni. Voorhees mnie nie zauważył – szedłem niecałe dwa metry z tyłu i gwałtownie ich wyminąłem – dopóki wyraz twarzy ochroniarza nie sprowokował go, by się odwrócić, z miną wyrażającą absolutne zaskoczenie i szok.

– Nie! Cofnij się! Nie...

Ale w tej sekundzie spust został pociągnięty, lufy wycelowane w lekarza abortera i huk pierwszego strzału powalił Augustusa Voorheesa, wdzierając się w jego dolną szczękę i gardło w sposób wręcz potworny, jakby Pan postanowił wyrazić swój gniew jednym drapnięciem potężnego pazura; zmyślnie celowałem wysoko, nie wiedząc, czy aborcyjny morderca ma na sobie kamizelkę kuloodporną. (Później ujawniono, że Voorhees nie miał takiej ochrony – nie mógł obronić się przed losem, który nań spadł). Mimo to w środku ogłuszającej eksplozji Pan uspokoił moje dłonie i mogłem spokojnie zwrócić broń w stronę ochroniarza winowajcy, stojącego blisko i krzyczącego: „Nie! Nie! Nie strzelaj!”, w niezdarnej desperacji próbującego się wycofać, rękami nieporadnie zasłaniającego ciało, ale te słowa nadeszły zbyt późno i znaczyły tyle co skrzeczenie czarnych ptaków przelatujących po zimowym niebie nad nami, kiedy drugi strzał oderwał twarz i większość gardła winowajcy, którego pozbawione życia ciało padło w tył, tak jak wcześniej ciało Voorheesa, i oba ciała zwały się na asfaltowy podjazd przed samochodem, obficie brocząc krwią – trwało to kilka sekund, tak jak pragnął Pan.

W ekstazie, gdy Pan przechodził przez moje ręce i dłonie niczym prąd elektryczny, ledwo poczułem odrzut wystrzału, który walnął mnie w ramię niczym kopiący muł; było tylko odrętwienie, które pojawiło się potem, i ból do szpiku kości.

– Boże, miej litość! Bóg wam wybaczy...

Te słowa wyszeptalem, klękając nad upadłym grzesznikiem (wiedziałem bowiem, że Voorhees umrze, nie pokajawszy się), ale prawdopodobnie zrobiłem to zbyt cicho, by ktokolwiek usłyszał je wśród krzyków i płaczu za moimi plecami.

Świadków egzekucji było niewielu. Z powodu wczesnej pory przed centrum zdążył się zgromadzić może z tuzin protestujących.

Sekundy mijaly tak bardzo powoli. I zdawało się, że Luther Dunphy odszedł na bok i obserwował. To, co widział i słyszał, dochodziło do niego przytłumione z tej odległości.

Równie spokojnie, bo wszystko to Pan rozłożył przede mną jak mapę geologiczną, która nie zawiera dezorientujących nazw miejsc zwyczajnej mapy, a tylko wyrzeźbione kontury Ziemi, położyłem ostrożnie dwulufową strzelbę Mossberga kaliber 12 na podjeździe, na niewielkim wzniesieniu, gdzie pęknięcia biegly prostopadle do siebie i przypominały – przynajmniej w moich oczach – krzyż.

Jakieś trzy i pół metra od poległych mężczyzn i (położonej na krzyżu) broni, prostopadle do niej, ukląknęłam.

Między poległymi mężczyznami a strzelbą, między strzelbą a Lutherem Dunphym, między Lutherem Dunphym a poległymi mężczyznami można by narysować linie wyznaczające trójkąt o nierównych bokach, którego wierzchołkiem byłby Krzyż Ukrzyżowania, wydawałoby się, przypadkowo powstały na asfalcie, którego nigdy nie odkryłoby ludzkie oko, gdyby nie Boska interwencja i Pan prowadzący moją dłoń.

Jestem potężnym mężczyzną i nie jestem (już) sprawnym mężczyzną. Stawy kolanowe często boją, to początki artretyzmu. Kości biodrowe i mięśnie dolnej części pleców też często doskwierają, ale wbrew tym przypadłościom nigdy nie narzekam przed moim pracodawcą ani innymi dekarzami, nie dają też poznać po sobie bólu w trakcie prac domowych (chyba że moja droga żona coś zauważy, a trudno to przed nią ukryć, bo poznała mnie doskonale przez szesnaście lat małżeństwa), a teraz, po zabójstwie abortera i jego współnika musiałem bardzo ostrożnie klęknąć z podniesionymi rękami (zdającymi się ważyć tonę, drżącymi i zdrętwiałymi), by czekać na przyjazd policji z Muskegee.

*Dobry Boże, powierzam Ci swoją duszę. Jeśli taka jest wola Twoja, wkrótce złączę się z Tobą w niebie.*

Schyliłem głowę, zamknąłem oczy, które zaszyły łzami. Zrozumiałem bowiem, że moje życie Luthera Dunphy'ego (to śmiertelne) właśnie dobiegło końca, na asfaltowym podjeździe przychodni dla kobiet, drugiego dnia listopada 1999 roku. Moje życie jako kochającego męża chrześcijanina, ojca i obywatela Muskegee Falls w stanie Ohio. Było dla mnie jasne, że urodziłem się w Sandusky w Ohio 6 marca 1960 roku i umrę teraz, w tym miejscu, ponieważ ledwie poprzedniego wieczoru „przeczytałem” tę inskrypcję na nagrobku. *Bóg dał, Bóg wziął.*

Znajdą mnie pogrążonego w głębokiej modlitwie, z rękami uniesionymi w poddańczym geście, z otwartymi dłońmi niestrzymującymi broni. Głęboko pogrążonego w modlitwie „jak w transie, ale współpracującego” (tak zapisano w raporcie), kiedy policjanci hrabstwa Broome podchodzili do mnie z wymierzoną bronią.



*W sercu prosiłem Pana, by dał mi w tej chwili schronienie u Siebie. Prosiłem Pana: pozwól mi teraz to zakończyć. Inaczej wezmą mnie do niewoli i zostaną oszczędzeni w ich socjalistycznym, ateistycznym sądzie prawa, które się wyrzekło Ciebie. Zaczyną się ze mnie śmiać i szydzić, a w końcu ten ich ateistyczny sąd skaze mnie na śmierć. Ale to będzie śmierć na ich warunkach – bynajmniej nie szybka. Doskonale rozumiem, że będzie przedłużana i pełna wstydu i może nie znajdę w sobie dość siły, by wytrzymać tę rozpacz. Bowiem czekanie na wyrok w celi śmierci zniszczy moją duszę, tak jak wielka otchłań pochłania skałę. Prosiłem Pana, by w swojej łasce pozwolił mi wykonać jakiś niebezpieczny gest w stronę policjantów, gdy przyjadą, by zastrzelili mnie tam, gdzie klęczałem. By stracili mnie, otwierając do mnie ogień; leżelibyśmy wtedy wszyscy trzej, pozbawieni życia, na asfaltowym podjeździe tamtego ranka, jako znak dla całego świata, że aborcyjna rzeźnia musi się zakończyć.*

*Ale Pan w swojej wszechmocnej mądrości nie dał mi tej łaski. Choć Pan był tak blisko mnie jak bijące serce w klatce piersiowej, teraz wycofał się ode mnie na górę, by obserwować swego sługę i żołnierza w pokłosiu Jego misji.*

*Nie umarłem tamtego ranka. Zamiast tego Pan zesłał mi odrętwienie, całkowite poddanie. Zakuto mnie w kajdanki i zabrano do aresztu stanu Ohio, z którego miałem już nie wyjść żywy.*

Życie składa się ze zwrotów. Tak je nazywam.

Zwrot to niespodzianka. Kiedy ktoś łapie cię od tyłu za ramiona, musisz się odwrócić, by zobaczyć coś, co do tego momentu było przed tobą ukryte.

Zwrot – i już nigdy nie będziesz taki sam. Przejrzysz na oczy. Choć wszyscy, którzy cię znają, będą przysięgać, że właśnie takiego cię znają.

Dziesięć dni przed egzekucją Voorheesa „zupełnym przypadkiem” pojawiłem się pod kliniką dla kobiet kilka minut wcześniej niż zwykle, czyli między siódmą czterdzieści pięć a ósmą rano. Tamtego dnia na autostradzie panował chyba mniejszy ruch, więc kiedy przyjechałem i zaparkowałem na ulicy, oprócz mnie był w centrum tylko jeden protestujący, znany mi z widzenia mężczyzna jakiegoś dziesięć lat ode mnie starszy (wkrótce miałem skończyć trzydzieści dziewięć), ale nie poznałem jego pełnego imienia i nazwiska – Stockard mogłoby być zarówno jednym, jak i drugim. Na jego twarzy malowały się godność i determinacja, dzięki którym z miejsca uznawałeś go za c z ł o w i e k a B o g a, być może katolickiego księdza bez formalnych szat. Albo, jak się czasem zdarza, byłego księdza. Tak jak ja jestem byłym, co prawda nie pastorem, ale cywilnym duchownym w Kościele Jezusowym Świętego Pawła. Przywitaliśmy się jak przyjaciele, ale powściągliwie, bo nie należę do ludzi, którzy pochopnie podają dłoń, uważam też na tych „wylewnych” (jak ich nazywają). Zaczęliśmy cicho rozmawiać (w tym czasie przybywali inni, pojedynczo lub w parach, ale my staliśmy trochę dalej) i wtedy powiedział mi, że lekarz aborter Voorhees jest już w budynku kliniki. Voorhees przyjechał przed siódmą trzydzieści, przywiozła go vanem eskorta (wstyd, ale ten ochotnik z Kliniki dla Kobiet Hrabstwa Broome był emerytowanym majorem armii amerykańskiej, nazywał się Timothy Barron, miał pięćdziesiąt osiem lat) i pod-

jechali od tyłu, by zaparkować z dala od ulicy. Personel (same kobiety, w tym kilka zarejestrowanych pielęgniarek) zatrudniony w centrum lub pracujący tam ochotniczo zwykle przyjeżdża przed ósmą, a teraz właśnie jest punkt ósma i zaczynają się pojawiać pierwsze matki, wtedy zdążyła też już przyjechać ochrona policyjna, między siódmą trzydzieści a siódmą czterdzieści pięć. Jednak tego dnia policjanci (czyli dwóch funkcjonariuszy z Muskegee Falls, którzy przez cały czas siedzą w aucie albo stoją w jego pobliżu, chyba że mają jakiś powód, by zbliżyć się do budynku) nadjechali dopiero o siódmej pięćdziesiąt jeden.

Ostrożnie zapytałem mego towarzysza:

– Czy to oznacza, że lekarz aborter przyjeżdża tu czasami dużo wcześniej, przed ochroną?

I Stockard odparł, że tak, ostatnio nawet częściej niż kiedyś.

– Voorhees przyjeżdża tutaj wcześniej, żeby znaleźć się bezpiecznie w środku, zanim otworzą drzwi – dodał.

W tym, jak wymawiał nazwisko „Voorhees”, słyszałem wściekłość.

Voorhees był nowym szefem kliniki, pojawił się tu w lipcu 1999 roku, poprzednio pracował jako aborter w Michigan. Wiedzieliśmy, że od dawna jest związany z ruchem planowanego rodzicielstwa i specjalizuje się w położnictwie i ginekologii. Przyjechał do Muskegee Falls po tym, jak zrezygnowała poprzednia dyrektorka, kierująca przychodnią zaledwie przez siedem miesięcy.

Przez krótki czas wydawało się możliwe, że Klinika dla Kobiet Hrabstwa Broome zostanie zamknięta. Celem naszej kampanii było zniechęcenie i zdyskredytowanie wszystkich związanych z kliniką. Niektórzy proponowali jej podpalenie (ja do nich wówczas nie należałem). Jednak potem pojawił się Augustus Voorhees, człowiek o wiadomej reputacji, którego nazwisko znajdowało się na liście *Poszukiwani: mordercy dzieci są wśród nas*, publikowanej w newsletterach biuletynu Armii Boga „Strażnik”.

W tamtym czasie, w październiku 1999 roku, Voorhees był na tej liście numerem trzy. Do momentu zabójstwa abortera Paula Ericha w Livingston w stanie Kentucky, którego Shaun Harris dokonał sześć tygodni wcześniej, Voorhees był numerem cztery.

Kiedy jeden morderca zostaje usunięty z listy, pozostali przesuują się w górę.

Obecnie znajduje się na niej dziewiętnaście nazwisk, wyłącznie lekarzy – mężczyzn odrzucających swoje powołanie: po pierwsze nie szkodzą.

W socjalistycznych, ateistycznych mediach agituje się intensywnie za ocenianiem strony internetowej Armii Boga. I za usunięciem

ciem z niej listy „poszukiwanych”. Ale wolność słowa to nasze prawo wynikające z pierwszej poprawki do konstytucji Stanów Zjednoczonych.

Podobnie jak prawo obywateli amerykańskich do noszenia broni.

Armia Boga wierzy, że każdy zamordowany aborter morderca oznacza ratunek dla życia dzieci. Jeśli Voorhees zostałby zdjęty, dzieci, które zginęłyby z jego ręki oraz z ręki innych naśladujących go lekarzy, miałyby szansę żyć.

Codziennie w samej tylko klinice w Muskegee z użyciem narzędzi aborcyjnych zabijano się od piętnastu do dwudziestu niemowląt (według naszych szacunków). Te przerażające liczby można pomnożyć przez liczbę wszystkich aborterów w całych Stanach Zjednoczonych – bywają dni, w których dokonuje się setek morderstw!

To potworne, że choćby jedno dziecko może umrzeć w ten sposób i nawet jedna taka śmierć powinna inspirować chrześcijan, by powstawali i protestowali.

W sposobie, w jaki mój towarzysz wymawiał nazwisko „Voorhees”, znalazły się całe to obrzydzenie i gniew.

Tamtego ranka nie wypytywałem już dokładniej o czas przyjazdu abortera Voorheesa. Nie okazywałem przy mym towarzyszu żadnego szczególnego zainteresowania czy zmartwienia. Nie należę do ludzi, którym mówienie przychodzi z łatwością, i moim instynktem jest chronić innych – taki mam zwyczaj jako mąż i ojciec. Nie chciałem, by – gdybym zdecydował się działać dzięki informacjom dostarczonym przez Stockarda – ten niewinny człowiek został aresztowany jako współnik jakichkolwiek moich czynów. Przywódcy ostrzegali nas, że nie powinno się angażować innych w nasze działania, bo mogłoby to sprowokować policję do zbiorowego oskarżenia, oczernienia i ukarania niewinnych, poczynając od naszych rodzin oraz pozostałych protestujących. Zamiast tego podniosłem więc transparent, jakby to był po prostu kolejny zwyczajny poranek w moim życiu, choć w mojej głowie rozległ się ogłuszający szum – z radości nie potrafiłem logicznie myśleć.

Bóg przesłał mi osobistą wiadomość, której nie mogłem zignorować ani błędnie zinterpretować: *Morderca nie jest chroniony! Będzie wystawiony na cell!*

Ze wstydem przyznaję, że nie miałem (jeszcze) siły, by skonfrontować się z tym zwrotem. Rano, kiedy opuściłem posterunek pod kliniką, by pojechać do pracy, uczucie radości zniknęło, byłem wzburzony i nerwowo – próbowałem o tym nie myśleć.

Przez kilka dni to czułem. Jak coś dryfującego w moim oku, nie do końca prawdziwego, a jednak dekoncentrującego. Tak jak wtedy, kiedy gapiąc się na coś, próbujesz nie widzieć małego pływającego w oku pyłku, ale nie możesz go nie zauważyć.

To. Możliwość, że Pan Bóg, który przemawiał do innych i pokazywał sposób, w jaki Jego wola może zostać wypełniona w świecie ludzi, być może w końcu przemówił do mnie – przerażające, bo nie mogłem podzielić się tym z nikim, nawet z moją drogą żoną.

Jednak zawsze, kiedy byłem sam albo kiedy odpływałem myślami od innych (nawet od moich młodszych dzieci ciągnących mnie za rękaw, trącających głowami, proszących: „Tatuuuś, pacz!” w ten swój sposób, który rozdzierał mi serce), byłem wciąż świadomy tego.

*Ostatnio przyjeżdża wcześniej. Przed policyjną ochroną.*

*Ile minut? Może dziesięć, dwanaście...*

*Ten człowiek jest mordercą i w dodatku tchórzem. Ukrywa się wśród kobiet, nad którymi się pastwi. I które okalecza.*

*Voorhees. Jeden z listy.*

Czy Stockard wypowiedział do mnie te słowa? Czy przekazał mi je bezgłośnie?

Za ośmiokątnymi szklami okularów bez oprawek jego oczy lśniły od emocji. Nie musiał wcale mówić: „Mordercę trzeba powstrzymać! Jeden z nas musi go powstrzymać”.

W pracy, kiedy układałem gonty na dachu domu nad parowem w rezydencjalnej okolicy Muskegee Falls (nowy dom kolonialny, tak wielki, że pomieściłby dwa moje, bo sama działka miała ponad hektar, sześć razy tyle co moja) i wbijałem gwoździe, każde uderzenie młotka było jak cios w serce: *Dziecko zabite młotkiem, dziecko wysysane z macicy matki, dziecko, któremu odmawia się urodzenia, dziecko, które umrze.* Ciało kobiety czy dziewczynki zostaje zbezczeszczone narzędziem abortera i jej dusza jest zbezczeszczona. Te, które Pan chce uczynić matkami, często poddawane są praniu mózgu, nie wiedzą, na co się godzą.

Kobieta nie zna własnego umysłu. Szczególnie kobieta, która zachodzi w ciążę, wtedy bowiem jej stan psychiczny zostaje zaburzony przez tak zwane hormony.

Wszystkie kobiety, które znam – moja matka, siostra i moja droga żona Edna Mae – przyznają, że tak jest. I dręczone problemami kobiety, które pocieszałem, będąc cywilnym duchownym w naszym Kościele. Kobieta często mówi, że nie miała na myśli tego, co powiedziała w złości lub zdenerwowaniu, że naszło ją jakieś szaleństwo. Że to „ten czas w miesiącu”. Albo „uderzenia gorąca”. Kiedy szatan mówi przez kobiece usta, te robią się brzydkie i wykrzywione. A w myślach

kobiety pojawia się szatańskie uczucie. Słabość kobiety czy dziewczyny poddającej się mężczyźnie to nie najgorszy grzech, to grzech, który zostaje wybaczony, tak jak Jezus wybaczył Marii Magdalenie. Ale to fakt: kobiety należy chronić przed największym błędem jej życia.

Myśl, że nasze własne ukochane dzieci mogłyby zginąć z ręki abortera, gdyby okoliczności były inne. Bo przecież los jest ślepy, nie da się go kontrolować.

Dziecko to ty sam. A jednak oczywiście dziecko to nie ty sam, to niewiadoma.

Jesteśmy tu, na ziemi, by się nawzajem chronić i kochać, a największą odpowiedzialność ponosimy za najmniejszych – dzieci i niemowlęta.

Na dachach domów obcych ludzi często nachodziły mnie takie myśli. W moim zawodowym życiu, rozpoczętym, kiedy miałem czternaście lat w Sandusky, gdzie mój ojciec był stolarzem i dekarzem, to on pierwszy zabrał mnie na budowę. Ojciec niewiele mówił i rzadko mnie dotykał (tak jak moich braci czy siostry), chyba że wtedy, gdy musiał złapać mnie za rękę, bym bezpiecznie wszedł na jakiś dach – „Mam cię!”.

To było jak błogosławieństwo: tata mocno łapiący za rękę.

Martwi mnie, że w obecnych czasach młodzi chłopcy nie mogą pracować na dachach i w stolarce. Nie mogę zabierać ze sobą Luke’a na budowę i oczekiwać, że Fischer Construction go przyjmie. Nie jestem też pewien, czy Luke chce pracować tak jak ja. I czy będzie miał tak sprawne ręce jak ja w jego wieku.

Jeśli wespnieiesz się na dach jakiegokolwiek budynku, zostajesz wyniesiony ponad swój stan naturalny. Są takie myśli, które przyjdą do ciebie tylko na dachu, bo przede wszystkim, kiedy się wyprostujesz i uniesiesz wzrok, niebo otworzy się nad tobą w sposób inny niż wtedy, kiedy jesteś na ziemi. Drzewa cię nie przerastają, niektóre są pod tobą albo na równym z tobą poziomie. Gdy miałem czternaście lat, ekscytowało mnie takie wspinanie się na dachy, cudownie było wziąć młotek i pracować razem z ojcem, wiedzieć, że jest ze mnie „cholernie dumny”, jak mawiał (nie do mnie, do innych), i widzieć zazdrość w oczach mężczyzn, że mój ojciec ma takiego syna jak Luther, tak dobrze pracującego, nigdy nienarzekającego czy znudzonego jak to często chłopcy. Nie byłem przygotowany na mądrość Pana (w tamtym czasie w mojej duszy była jeszcze chropowatość), jednak od początku to „rozstąpienie się” nieba robiło na mnie duże wrażenie. Trudno wyjaśnić, co to było, poczułem jednak niepokojącą świadomość, że żaden mój czyn nie pozostanie niezauważony i nieosądzony.

To jest pierwszy fakt – owo „otwarcie się” nieba – a drugi to ten, że dach zazwyczaj ucieka ci spod stóp, a to coś zupełnie innego od stania na ziemi. Żadnego dachu nie bierze się za pewnik, bo jest bardzo prawdopodobne, że będzie miał spadek, więc nieustannie musisz się mieć na baczności. Gdy stoisz mocno na ziemi, jest inaczej. Nawet pijak wie, że ziemia jest równa. Na dachu musisz mieć robocze buty z gumowymi podeszwami. Potrzebujesz czapki, by osłonić oczy od słońca. Musisz włożyć rękawice. W koszmarnym śnie stoisz na dachu (bardzo stromym) nieosłonięty, bez kasku, rękawic i porządnych butów, a kiedy szukasz drabiny, widzisz, że ktoś ją zabrał i nie masz jak zejść.

Pot oblewa cię całego, kiedy widzisz, że ktoś zabrał drabinę.

Jeśli zeskoczysz z dachu, możesz połamać nogi. Możesz złamać kręgosłup, skręcić kark. Chodzisz po dachu na miękkich kolanach, przysiadasz na piętach, szukasz drabiny, której tam nie ma. Ale dziwne, że nie ma też nikogo innego. W prawdziwym życiu nigdy nie znajdziesz się sam na dachu z młotkiem w dłoni, nie znajduję czegoś takiego w swojej pamięci od czternastego roku życia, jednak we śnie ktoś zabrał drabinę i wszyscy sobie poszli, w tym brygadzysta, a niebo nad tobą jest otwarte.

Przez pierwsze lata każdego ranka ekscytowało mnie, jakie nowe myśli pojawią się tego dnia! Bo zawsze są nowe myśli, jak wiadomości z nieba.

Wtedy Pan często do mnie mówił. Jezus mówił, by pocieszyć mnie w chwili troski, ale również by radować się ze mną w chwili szczęścia.

Ponieważ nie zawsze wiesz, że jesteś szczęśliwy, dopóki nie zostanie ci to powiedziane. Że otrzymałeś błogosławieństwa – na przykład dzieci i kochającą żonę, oddaną chrześcijankę, oraz stałą pracę, nawet w czasach „recesji” – o tym musi poinformować cię ktoś, kto ma wiedzę większą od ciebie.

Tyle że od czasu Daphne te myśli nie są nowe. Jak lep, do którego muchy przyczepiają się i bzyczą. Żadna mucha, która utknie na tym klejącym papierze, nie uwolni się, a pojawią się kolejne i ugrzęzną, także bzycząc.

To są bzyczące myśli.

Tak działo się szczególnie w gorących miesiącach. Smród papy mięknącej na słońcu przypomina woń myszy, mysiego truchła w piwnicy. Z daleka słyszałem, jak inni rozmawiają. I hałas młotka. Ale bzyczące myśli wciąż przeszkadzały.

Wbiłem się piętami w pochyłe deski, oddech zgęstniał z wysiłku. Pot płynął po skroniach. Smród mojego ciała wydzielającego pot jak lzy.



Jednak odkąd Stockard się do mnie odezwał i zapanowało między nami niewypowiedziane porozumienie, nastał nowy czas. Niebo miało perłowy i jasny kolor. Nie było widać słońca, ale powietrze i tak lśniło. Obłoki przybierały zaskakujące kształty, kusily, by gapić się na nie długimi minutami. Kusilo też obserwowanie przepływających chmur. A teraz lato minęło, zrobił się późny październik i wydawało się, że białe światło odbija się od papy.

*Boskie światło. Teraz masz otwarte oczy.*

Uderzenia mojego młotka były silne, precyzyjne. Wbijałem trzy-calowe gwoździe w gonty, zabezpieczałem je w zstępujących rzędach. Z każdym uderzeniem pojawiało się pytanie – kto będzie następny? Kto następny wystąpi? Kto uderzy na wroga? Moi towarzysze wystąpili już z odwagą na Florydzie, w Kentucky, w Michigan, w Nowym Jorku i w Ohio.

*Obroń nienarodzonego. Uzasadnione zabójstwo.*

Utkwiło mi w świadomości, że jeden z towarzyszy z Armii Boga, James Kopp (nie znałem go osobiście), zamordował lekarza abortera Barnetta Slepiana w Buffalo niemal rok wcześniej – w Dzień Weterana (11 listopada) 1998 roku, i niedawno skazano go na dożywocie bez możliwości wcześniejszego zwolnienia. Wielu z nas modli się, by nie wpadł w rozpacz. Kilka lat wcześniej męczennik Michael Griffin wystąpił, by zamordować wielokrotnego abortera Davida Gunna w klinice dla kobiet w Pensacoli na Florydzie, i wymienił jego życie na swoje. Był jeszcze Terence Mitchell w Traverse City w Michigan (za którego modliliśmy się w zeszłym roku), uznany za winnego morderstwa i skazany na dożywocie. W Livingston w Kentucky był Shaun Harris, który zastrzelił abortera Paula Ericha i wciąż czeka na proces...

A teraz Pan zwrócił swój wzrok na Luthera Dunphy'ego i nie mogłem się ukryć. Na dachu domu wychodzącego na parów, domu bogacza, pod okiem słońca tłukącego w moją głowę przez szmacianą czapkę, prosto do mózgu. Jakby to był problem z podręcznika do geometrii mojego syna Luke'a – kazano mi zrozumieć, że pojawiła się kolejna osoba, która musi działać, i tą osobą będę ja.

*Powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.*

W moim życiu były inne ostre zwroty. Zwroty, które zmieniły bieg mojego życia, choć zwykle zdawałem sobie z tego sprawę dopiero później. Jednak nigdy żaden zwrot nie był tak jasny jak misja wyznaczona mi przez Pana.

Przez resztę tamtego dnia pracowałem ciężiej niż ktokolwiek inny z naszej ekipy. Ciężiej niż młodszy mężczyźni, którzy zbyt wiele czasu marnowali na rozmowy i żarty, przeklinanie, opowiadanie świńskich



dowcipów. Jakby opowiadanie świńskich dowcipów nie zatrzymało ust. A taki śmiech, zbyt głośny, jak skowyt hieny, męczy ludzką duszę.

*Ty, Lutherze Dunphy. Ty jesteś wybranym.*

*Ty masz zabić abortera mordercę Voorheesa, by twoi bracia chrześcijanie mogli się radować.*

Przy wbijaniu gwoździ pojawia się niepokój, ale to kontrolowany niepokój. Ciesielka to działanie kontrolowane, zmierza do celu. Jeden gwoździec, potem kolejny. Sekwencja gwoździ przy budowie domu. Ile gwoździ, ile uderzeń młotka! *Pan spogląda w zadziwieniu na Luthera Dunphy'ego, któremu bardzo jest rad.*

„Luther? Hej...”

Unoszą się ku mnie głosy z dołu, które słyszałem (oczywiście, że słyszałem), ale z odległości, ledwie przebijają się przez ten ważniejszy głos szepczący mi do ucha.

Wołał mnie brygadzysta, Ed Fischer. I ktoś jeszcze – wołał po imieniu. Ale z szoku, że Luther Dunphy został wybrany przez Pana i że Luther Dunphy to ja, nie byłem w stanie odpowiedzieć, więc tylko gapiłem się na nich otępiąły.

*Oczywiście, że Luther Dunphy był doskonałym dekarzem. I pod każdym względem świetnym pracownikiem. Odpowiedzialny, mogłeś na nim polegać, nigdy się nie spieszył, nigdy nie zrobił nic byle jak albo nieuważnie, nigdy nie pił w pracy, nigdy nie wdawał się w kłótnie, pracował dla nas od jedenastu lat, a wolne – może z sześć tygodni – wziął tylko wtedy, gdy leczył się po wypadku, w którym o mało nie zginął. Ale nawet wówczas wrócił tak szybko, jak tylko mógł, i choć czasami na jego twarzy było widać ból, nigdy nie narzekał.*

*W przeciwieństwie do większości ludzi, z którymi pracujemy, Luther rzadko tracił cierpliwość. Nie przeklinał też i nie mówił sprośności, zupełnie inaczej niż ci wszyscy, którzy tylko kurwa to, kurwa tamto, kurwa mać, tylko tyle potrafią powiedzieć... Nie zaskoczyło mnie, kiedy dowiedziałem się z wiadomości, że zanim się tutaj przeniósł, uczył się na pastora w jakiejś szkole biblijnej w Toledo.*

*Było oczywiste, że Luther uważa na to, co mówi. Z pewnością nie obgadywał nikogo za plecami. I nigdy się nie złościł – tak żeby było widać.*

*Z powodu recesji nie budujemy już tak dużo jak kiedyś. Niektórych ludzi musiałem zwolnić, ale Luthera Dunphy'ego chciałem zatrudnić, kiedy tylko się dało. Miał doświadczenie i umiejętności, no i rodzinę, małe dzieci, więc oczywiście się martwił, kiedy mu mówiłem, że jest mniej godzin pracy, widziałem troskę na jego twarzy. Ale nigdy się nie złościł.*

*Czasami Luther „odlatywał” – patrzył na ciebie, gdy do niego mówiłeś, ale cię nie widział, w jego spojrzeniu pojawiał się taki pusty wyraz jak u osoby, która śpi z otwartymi oczami...*

*Ten okropny wypadek, który przeżył w zeszłym roku na autostradzie... Jedno z jego młodszych dzieci zginęło, Luther prowadził. Nikt nigdy z nim o tym nie rozmawiał, bo u diabła, nie wiadomo, co powiedzieć...*

*Wiedzieliśmy, że Luther jest członkiem tego Kościoła protestanckiego – nazywa się Kościół Jezusowy Świętego Pawła. Wiedzieliśmy, że bierze aktywny udział w pikietach pod przychodnią dla kobiet, które nazywają czuwaniem. Ale nikomu nie przyszło o głowy, że to zajdzie tak daleko – że to akurat Luther Dunphy z zimną krwią zastrzelił dwie osoby, nawet jeśli to byli mordercy dzieci, Jezu, nikt by tego nie przewidział.*

# Cud Małej Dłoni

Kiedy pierwszy raz dowiedziałem się o Małej Dłoni, byłem zaskoczony.

To wtedy w moim życiu na nowo pojawiła się Edna Mae. I Kościół Jezusowy Świętego Pawła. Był to czas wielkiego szczęścia, ale też czas, kiedy często coś dławiło mnie w gardle, aż miałem trudności z oddychaniem i nie mogłem nic powiedzieć, do oczu napływały łzy, takie łzy, które pojawiają się w gorącym powietrzu, a nie ze smutku; bo ja nie byłem wówczas zatroskany, nie patrzyłem wstecz, ale radowałem się, że wkrótce się ożenię i razem z moją drogą Edną Mae założymy rodzinę.

Z kościoła mieliśmy brać ulotki do rozdawania znajomym czy sąsiadom, do zostawiania w wybranych miejscach, i na jednej z nich, na pierwszej stronie, widniała rączka, która wyglądała na dłoń niemowlęcia tak małego, że dopiero co narodzonego albo jeszcze nienarodzonego.

## CUD MAŁEJ DŁONI

*W trakcie zabiegu usuwania ciąży, kiedy lekarz aborter zamierzał swoimi krwawymi narzędziami siłą usunąć żyjące niemowlę z łona matki, nagle zobaczył u wejścia macicy jakiś ruch i poczuł dotyk – gdy zaskoczony wpatrywał się w to miejsce, na jego palcu zamknęła się mała dłoń i ścisnęła, jakby chciała krzyknąć:*

*Ja żyję! Ja żyję! Nie zabijaj mnie, ja żyję!*

*Zabieg abortyjny wstrzymano, bowiem ani lekarz, ani pomagająca mu pielęgniarka (która widziała Małą Dłoń) nie byli w stanie go kontynuować. Od tamtej chwili chirurg nie przeprowadził już żadnej aborcji, stał się za to obrońcą nienarodzonych i zorganizował krucjatę lekarzy przeciwko aborcji. Pielęgniarka*

*już nigdy nie asystowała przy żadnym zabiegu i pomogła zorganizować się innym pracownikom medycznym w krucjacie przeciwko aborcji. Również młoda matka doświadczyła przemiany i postanowiła zachować dziecko, które w pełni dojrzało i urodziło się w wyniku naturalnego porodu, zdrowe i wążące ... kilogramów.*

*I tak Mała Dłoń wciąż chwyta wszystkich za serca.*

Edna Mae dała mi tę ulotkę do przeczytania. Potem po cichu podeszła, dotknęła mego ramienia i zobaczyła, że mam twarz koloru popiołu, a w sercu miłość i trwogę przed Panem, i wtedy w milczeniu mnie objęła.